ILUSTROWANY
GŁOS NARODU

z dnia 11. Października 1902 r.

Marja Konopnicka

i poezja ludowa.

Nowa serja poezyj — nowy ton, czy nowa struna nawiązana do starego bardonu romantycznego, na którym poetka wygrała była pierwsze swe natchnienia.

Nie znaczy to bynajmniej, ażeby ten nowy ton był jakiemś przeciwstawieniem się do dawnego. Owszem — w ciągu paru lat, które upłynęły między pierwszą serją a drugą (1881—1883) nie zaszła żadna zasadnicza zmiana w poglądach poetki.

Ton zasadniczo własny poetki, wykrzesany w serji pierwszej w szeregu swych Obrazków — powtórzy się i tu (już bez dalszego doskonalenia się) w formie takiegoż cyklu sześciu Obrazków: „Czy zginie“, „Jaś nie doczekał“, „Dwie wiosny“, „Z szopką“, „Na dnie przepaści“, „Chłopskie serce“. Tylko że Obrazki te będą już prawie naśladowaniem poprzednich, a w każdym razie w indywidualności poetyckiej autorki nie znaczą żadnej odmiany.

Owszem, wierzymy jej, gdy mówi:

Nigdy ja na tej nie stanę wyżynie,
Kędy przed wzrokiem wpatrzonym w wszech-
[światy
Ziemia z swą nędzą tak blednie i ginie —
...I choćby wszyscy milczeli, ja przecie
Błękity wstrząsać będę mym protestem
I gdy Bóg spyta: „są smutni na świecie?“
Odpowiem: jestem! —

Wiemy, wierzymy, pamiętamy o tem od pierwszych niemal utworów poetki.

Ale oto w obfitem żniwie tych programowych i protestujących tonów uderza nas pewna nuta świeżo pozyskana.

W pierwszej serji poetka w zakresie rytmiki i frazeologji poetyckiej nie wychyla się nadto po za pospolitsze formy wiersza. Pieśni jej — te, które w wyrazie uczuć lubują się w uczuciach prostych, naiwnych — nie rzadko wpadają w ton przesady, w ton pewnej sielankowości pretensjonalnej, prostoty nieco „à la Watteau“. Słownictwo samo i rytm ich jest mdławy, a nawet polotność strofy jest czasem jakby afektowaną:

Na wiosnę wśród braci słowików i róż
Idylla wstaje,
Powojem ukwieca zielone tło wzgórz
Konwalją gaje.

Czasami znów (zawsze w pierwszej serji) probuje Konopnicka rytmiki dumek:

Oj, rozżaliła się gwiazdka maleńka,
Że w nocy świeci,
Oj, zapłakała samotna piosenka,
Że z wiatrem leci.

Natrafiamy na tę muzykę i styl prostego serca w serji drugiej — oto przygrywka do nich na fujarce:

Wyjdę z chaty pod figurę,
Będę Boga błagać, prosić,
By mnie zmienił w czarną chmurę,
I rozkazał wiatrom nosić.

A potem idą sobie dalej na fujarce wygrane piosenki:

Jakże Cię mam brać dziewczyno,
Jakże Cię mam brać —
Kiedy mi Cię z białej chaty
Nie chcą ojce dać?
Anim ja nie ptak skrzydlaty,
Anim ja nie ptak,
Żebym z tobą leciał w górę
Przez ten modry szlak.

Albo znów tak:

Świecą gwiazdy, świecą
Na wysokim niebie,
Jeno nie myśl, chłopie,
Że to i dla ciebie!

Albo tak:

A kto ciebie będzie złotem
Wiosko, odziewał?
I tęczowem wód rzeszotem
Blaski przelewał na strudze,
Blaski przelewał?...

Albo jeszcze tak:

Ścieżyna się wije przez orane pole...
— Oj nieś mnie, mój koniu, na wolę, niewolę,
Oj, nieś mnie, ty siwy, gdzie mnie ponieść raczysz:
Za kluczem żórawi, kędy je obaczysz.

Odtąd, gdy raz te rytmy pieśni ludowej posiadła poetka — pół strun swych na lutni odmieni i głębsze z nich dobędzie przeobrażenia dla całej swojej poezji, niż nam się na razie zdawać może.



MARJA KONOPNICKA.

Cóż się stało? — Że tych kilka rytmów chłopskich wyzyskała muzykalnie poetka dla motywów rodzajowych, to aż o „nowym tonie“ w jej poezji warto mówić?

Ach jak i warto! Pierwsza to odczuła poetka sama, bo od tej Przygrywki na fujarce — całe pół tonu drugiego nastroiła w kluczu melodji ludowej.

Ale nie koniec na tem: Pieśń chłopska daje nietylko odmiany w melodji, ona przynosi i nową djalektykę poetycką, nową obrazowość, nowy zestrój myśli.

Rytmika ludowa (wiążąca się bezpośrednio z muzyką), ma jeden szczególnie rys — bardzo ważny dla poety — liryka. Oto jest ona niesłychanie ekspresyjna. W pieśni ludowej melodja pieśni idzie za treścią i jest melodja nietyle może śpiewaną, ile przepysznie mówioną. Rytm takiej piosenki jest jakby najpierw tonem deklamacji, wypowiedzenia treści a potem może się jakby przeciągnąć, czy rozwinąć we właściwą melodję. Każdy kujawiak, każdy oberek nasz ma taki niezmiernie charakterystyczny akcent, każdy można świetnie wypowiedzieć przy akompaniamencie muzycznym. To bogactwo tonacji, bogactwo akcentów ekspresyjnych bije poprostu z każdej strofki. Ot, choćby z tej:

Jakże cię mam brać, dziewczyno,
Jakże cię mam brać —
Kiedy mi cię z białej chaty
Nie chcą ojce dać. —

Jak tu słowo każde niesie swoją melodję, jak tu każdy frazes układa się w całość i jakie bogate użycie „recitative“!

Konopnicka pierwsza może wśród poetów polskich wyzyskała w całej rościągłości skalę rytmiki ludowej, nie ograniczając jej tempem krakowiaka i mazurka. W każdym razie wyzyskała i wprowadziła do poezji jeśli nie całą pełnię rytmu mowy ludowej — bo proza chłopska ma również swoją odrębną muzykę, opartą na odrębnem frazowaniu — to przynajmniej melodyjność ludowej pieśni.

Wpływ zaś to na dalszy rozwój tej poetki tak znaczny, że poprostu trudno na razie zliczyć wszystkie jego pożytki.

Zaznaczamy przedewszystkiem, że co się tyczy samej poezji rodzajowej, to zapełnia ona pół serji drugiej, większą część utworów oryginalnych serji trzeciej. A któż nie pamięta tych wierszy z cyklu „Po rosie“:

A kiedy mi przyjdzie zagrać
W polu dziewczynie
W polu dziewczynie
Wykręcę ja fujareczkę
W tej wodnej trzcinie. —
Jak ta trzcina się ugina,
Za wiatru wianiem —
Nie inaksza i dziewczyna
Ze swem kochaniem.
Wprawiłaby jasne słonko
W szybkę u chaty.
Wyglądałaby, czy nie jedzie
Do niej bogaty!...

Albo tej wartkiej strofy:

Nie swatała mi cię swatka,
Ani ojciec, ani matka,
Jeno pieśni skowronkowe,
W te poranki, w te majowe,
Jeno jasne one zdroje,
Kędy konie do dnia poję,
Jeno gołąb ten skrzydlaty,
Jeno dróżka do twej chaty,
I fujarki onej granie,
Co rozlega się po łanie.
I te trzciny, rokiciny —
— Jedźże, Jaśku, do dziewczyny
Hej!...

Ale poezje rodzajowe, t. j. brane wprost z motywów życia wiejskiego, choć same zapełniły piękny tom tej autorki, są tylko cząstką nieoszacowanego dobrodziejstwa, którem lud odmierzył poetce, co go ukochała.

Bo oto dalej motywy już osobistej liryki, jak np. cykl „Na polanie“, lub „Piosnki i piosenki“, wszystkie skąpane, odmłodzone w krynicy liryki ludowej. Tu rytm brzmi inaczej — szczery, jasny, nie książkowy. Tu frazowanie myśli jędrniejsze, tu ani śladu klawikordów i pastorali. Prostota jest prostotą, a nie manierą prostoty.

Po tej naszej wiejskiej drodze
W dumach, w dumkach, oto chodzę,
W dumach, w dumkach schylam głowę,
Pod te zorze wieczorowe,
Pod tej ciszy tchy.

Albo ta pieśń o chacie:

Poszłabym ja w świat daleki,
Jako idą bystre rzeki,
Jako idą bystre wody,
Do Dunaju, do swobody,
Do szumiących fal,
Tylko mi cię żal
Ty chato
Pod tą lipą rozsochatą,
Pod tym sadem pełnym rosy,
Pod błyskami jasnej kosy,
Tylko mi cię żal! —

Umiałaż bo poetka ta czerpać z niej, bo i to jest przecie faktem, że lud tyle każdemu skarbu udzieli, ile kto sam dźwignie — jak w owych bajkach o świętojańskiem zielu!

Oto np. pielgrzymuje poetka po świecie i „W Dolinie Skawy“ podsłuchuje pieśń chłopską o śmierci, przepiękną pieśń pojednania z życiem:

Ciężko ci jest na świat iść, ciężko i odchodzić,
Miałby człowiek wolę chcieć, chciałby się nie rodzić,
Chciałby minąć wojnę tę, co się żywot mieni,
Chciałby sobie cicho spać u matuchny ziemi.
Pątowałem po drogach, pątowałem w smutku.
Wiela było starości, a nie wiela skutku,
Teraz idę w wieczny mir na ciche pokoje,
Teraz mi się zaczną już miłe wczasy moje.

A teraz z seryi czwartej pieśni Konopnickiej wiersz p. t. „Gdybym“.

Gdybym ze srebra powstał, mógłbym się tem smucić,
Że w proch i glinę ziemi mam się zaś obrócić,
Mógłbym nakrywszy głowę, ze skargą siąść w progu,
Przeciw śmierci głos podnieść i przeciwko Bogu.
I gdybym z złota powstał, mógłbym mieć za zmianę,
Że w popiół się rozsypię i prochem się stanę,
Że zgasną moje blaski i jasność się zetrze,
Kiedy rosa mnie zgryzie, a zczezmnę na wietrze.
Alem ja z prochu tego, z tej wzięty jest ziemi,
Dokąd się zaś powrócę za laty mojemi.
Po co mi skargi szerzyć, że stanę się pyłem:
Do domu mego wrócę i będę, czem byłem.

Pieśń ta należy do cyklu p. t. „Z mojej Biblii“. Jak to dobrze, że w tej biblii poetki nie zabrakło prastarych i przepięknych kart, które na pamięć zna lud z doliny Skawy i wogóle lud. Tam do źródła pątowała świetna poetka, a gdyby z pielgrzymki tej przyniosła jeden tylko obraz pątniczki owej „tak podobnej przydrożnym kamieniom“, to byśmy już o niej zapomnieć nie mogli.

Ale wiemy, że przyniosła więcej: przyniosła odrodzenie swej własnej pieśni w treści i formie. Bo wszystkie wyżej zacytowane przykłady tej transkrypcji na rytmikę ludową własnej liryki Konopnickiej — nie wyczerpują jeszcze całokształtu przeobrażenia. Zarówno odczucie krajobrazu polskiego, jak fragmenty filozoficzne, erotyki jak hymny poetki — nasyciły się tą nową składnią, słownictwem, rytmem — zgoła powtarzam, odrodziły się w fali wpływu ludowego.

Radzę przeczytać analogiczną do poprzednich „Obrazków“ rzecz p. t. „W piwnicznej izbie“, lub tak inną w nastroju elegię p. t. „W lesie“, ażeby się o wszechmocy tego wpływu w każdej postaci przeświadczyć.

I aż do cyklu „Italia“, ostatniego kręgu udoskonaleń poetki, wpływ ten idzie za nią i nadaje jej poezji moc i czar szczególny. On gra i w „Echach florenckich i w tym oto tak bardzo klasycznym wierszu na fryz pompejański p. t. „Prace Amora:

Huczy stępor po mielnicy,
Ciągną z śpiewem godownicy,
Ciągną z śpiewem i z hałasem,
Pobekuje kobza czasem.
Pobekuje kobza w dali —
Czy się śmieje, czy się żali,
Czy się cieszy, czy się smuci,
Co minęło, to nie wróci!

Więc to jest moc zdolna nawet chwilami przygasić purpurę Danta, zdolna zastąpić lekkość strofy „sans gêne“ Heinego, które tak często, a z natury rzeczy, poetce w tej podróży po klasycznej ziemi drogę znaczą? To jest moc rozjaśniająca wpółzatarte freski klasyczne i dająca im rumianą treść?

I choćbyśmy z pedantyczną lupą Wagnera starali się wytropić wszystkie ślady, które poezja ludowa wyżłobiła w liryce tej poetki — to i tak ich nie przeliczymy, bo najszacowniejsze — zna tylko ona sama. Bo tylko ona sama wie, ile stamtąd wziąć mogła, pozostając sobą, a raczej odnajdując siebie w wielkim ogrójcu poezji, pieśni ludowej.

Są takie źródła, gdzie można zanurzyć przedmiot jakiś, a źródło ten przedmiot oblecze w kryształy własne, nie zmieniając kształtu przedmiotu. Więc jeśli to była szlachetnej formy amfora — powróci z kąpieli w formie równie doskonała, lecz obleczona cała w owe źródlane kryształy.

Tyle przynajmniej duszy poety daje kąpiel w krynicy wpływów ludowych — co najmniej tyle.

Rozumiemy, kiedy Konopnicka w przepięknem uniesieniu woła:

Nigdy ja was nie zapomnę,
Pola moje przefaliste —
Lasy moje przeogromne,
Wody moje bystre, czyste!...

Nie może być inaczej. *)

*) Z książki Antoniego Potockiego, poświęconej Konopnickiej.

Wrażenia z wakacyj.

Melsztyn i jego okolice.

Sam wyraz góry, działa magicznie na każdego mieszczucha, to też spieszy, o ile tylko czas i środki pozwalają mu na to, na te urocze strony, by przynajmniej czas krótki spędzić na łonie przyrody i odetchnąć czystą atmosferą.

Piękną i bogatą we wrażenia, a zarazem i obfitą w pamiątki historyczne, jest nasza Galicja, którą tak w ohydny sposób poniewierają i lekceważą ją obce przybłędy, wynosząc z tej biednej i niegospodarnej Galicji kolosalne sumy rok rocznie za granicę.

Jeśli jednakże wybaczamy te obelgi opasłym brutalom niemieckim, to tem mniej usprawiedliwić musimy tych, co cudze zachwalają, do cudzych wód całemi masami wyjeżdżają, a nie znają swoich cudownych miejsc, które zdają się nie mieć dla nich wartości.

Do tych uroczych miejsc galicyjskich, między wielu innemi, należy właśnie Melsztyn i jego okolice. Melsztyn leży w powiecie Orzeskim 75 klm. na wschód od Krakowa, a 15 klm. ku południowi od stacji Bogumiłowice.

Ja jechałem jednakże inną drogą, bo dojechałem do stacji Gromnik, a stąd dopiero wozami podążałem zaraz z moją rodziną do Melsztyna. Już od Tarnowa począwszy, zmienia się tu okolica; zamiast bowiem równin, ma się po obydwóch stronach prześliczną panoramę górską aż do samych Węgier. Droga wozowa, ubitym szlakiem, przy sprzyjającej pogodzie jest nader malownicza, gdyż można bez żadnej przeszkody śledzić gołem okiem całą okolicę przed i za sobą. Wyobraźmy sobie prześliczną kotlinę górską, otoczoną z obydwóch stron malowniczemi górami, na stokach których widnieją rozsiane o białych domkach wioski, a będziemy mieli obraz drogi z Gromnika do Melsztyna wiodącej, z tym tylko dodatkiem, iż gościniec prowadzi górą, a po bokach ma się podnóża górskie po obydwóch stronach z pięknymi krajobrazami.

Po dwugodzinnej jeździe, przybywa się do miasteczka Zakliczyna, które leży na wzniesieniu. Zaraz na wstępie do miasta, spotyka się starą figurę kamienną, wznoszącą się na zwłokach bohaterów z wyprawy wiedeńskiej, powracających w rodzinne strony w r. 1683, których tu zaskoczyła cholera, i tu też padli ofiarą tej strasznej epidemii... Jeden z tych bohaterów, Stanisław Wielopolski, pochowany został w krypcie kościoła farnego.

Zakliczyn, dawna osada wiejska, zwana Opatkowicami, został miastem za staraniem Spytka Jordana, który tę wieś nabył od Benedyktynów tynieckich około r. 1520, i na pamiątkę rodzinnego gniazda Jordanów, nazwał ją Zakliczynem. Zakładając miasteczko, nadał mu Spytek Jordan 24 artykuły, według których mieli się rządzić mieszczanie, o czem świadczy kronika miasta, notująca skrzętnie wszystkie wypadki, odnoszące się do samego miasteczka, jakoteż i do wiosek okolicznych, począwszy od r. 1567, przechowywana w magistracie tamtejszym. Artykuły podane miastu przez założyciela, odnoszą się do urządzenia wewnętrznego i jego wewnętrznego rozwoju.

Miasto było dokoła przekopami otoczone w celu osuszenia wilgotniejszych miejsc i w celu obrony, a musiał to być ważny punkt w rozwoju miasta, kiedy siódmy artykuł ustaw Spytkowych wyraźnie zaznacza, żeby mieszczanie utrzymywali te rowy w należytym porządku i każdy z obywateli ma dbać o nie, a ktoby swe powinności zaniedbał, ma burmistrz rozdawać wykonanie roboty na koszt obywatela, zaniedbującego swe obowiązki.

Sól sprowadzano podówczas z Bochni dla całego miasta; i tu znów zastrzeżono wyraźnie, żeby ją sprowadzał sam burmistrz z rajcami i ten dopiero rozdziela ją miastu po 22 groszy za cetnar, nadwyżka zaś ze sprzedaży ma iść na potrzeby miasta. Wszelka sprzedaż zboża, potajemnie odbywana, ma być surowo karaną do wysokości 3 grzywien i utratą nagromadzonego materjału. Ta sama ostrożność odnosi się również i do sprzedaży mąki, wódki i piwa. Przestrzeganie świąt i nabożeństwa, zastrzegł Spytek surowo; mówi 29 artykuł wspomnianej ustawy wyraźnie, że ktoby zaniedbał nabożeństwa, lub trudnił się sprzedażą w godzinach przeznaczonych na nabożeństwo, to płaci 6 groszy kary. Za te artykuły podziękował burmistrz i rajce Spytkowi. Podpisał je własnoręcznie Spytek Jordan „in Zakliczyn oppidoch Melsztyn haeres“.

Ażeby ulżyć ciężarów mieszczanom, darował im Spytek podatki na 12 lat, i każdy mieszczanin zatrzymał nadal tę posiadłość, na której osiadł w chwili założenia miasta. Miasto rządziło się prawem niemieckiem. Na czele miasta stał burmistrz, trzech rajców, wójt, z przysiężników obieranych przez rajców, i czterech przysiężników z ramienia pospólstwa wybranych. We wszelkich spornych kwestjach, odnosiło się miasto do starosty, którego wyznaczał założyciel i jego następcy. Przywileje mieszczan, dotyczące rozwoju handlu i przemysłu, zatwierdził Zygmunt August i jego następcy, i każda z tych uchwał królewskich jest w kronice miasta uwidoczniona.

Każdorazowy burmistrz i rajcy, składali przysięgę na wierność Spytkowi, tożsamo musieli spełniać wójtowie i pospólstwo.

Rotę odnośnych przysiąg znalazłem w kronice miejskiej, które świadczą wymownie o wdzięczności i przywiązaniu mieszczan do swego dobroczyńcy.

Dzisiejsze miasteczko przedstawia się bardzo sympatycznie, jest dosyć czyste, i ma warunki dalszego rozwoju. Rynek obszerny zdobi skromny ale gustowny ratusz nowo zbudowany, na miejscu starej rudery, która spłonęła r. 1881, i była własnością hr. Lanckorońskiego. Około rynku wznoszą się jeszcze w przeważnej liczbie stare drewniane domy, z tradycjonalnymi podsieniami. ale i tu już wciskają się czyściutkie kamienice, kryte czerwoną dachówką. Miasto posiada od kilku lat sąd powiatowy, szkołę czte-

roklasową mieszaną, przed którą wznosi się lipa zasadzona na pamiątkę obchodu uroczystości mickiewiczowskiej, aptekę, dwóch lekarzy i dwa kościoły, to jest kościół farny i kościół OO. Reformatów. Kościół farny wznosi się przy drodze wiodącej do Melsztyna, zbudowany w r. 1768, na miejscu kościółka drewnianego. Z dziedzińca kościelnego roztacza się przepiękny widok na Dunajec i Melsztyn, który imponuje swą przeszłością dziejową i pięknem położeniem.

Poza miastem, w stronie południowej, przy drodze wiodącej do Nowego Sącza, wznosi się okolony staremi lipami klasztor OO. Reformatów bardzo starannie odnowiony i na sposób kościoła marjackiego w Krakowie odmalowany, za staraniem obecnego gwardjana ks. Pawła Fedki. Wieniec prześlicznych starych lip, z których jedna ma 300 lat, oraz las od strony południowej poza klasztorem, sprawiają niesłychanie miłe wrażenie i przepiękny obrazek estetyczny.

Dawny klasztor OO. Reformatów, drewniany znajdował się o 500 kroków na zachód od dzisiejszego, po którym pozostała dotąd figura kamienna, wznosząca się na miejscu presbiterjum. Dzisiejszy klasztor stanął kosztem Adama Tarły, hr. na Melsztynie, który ożenił się z córką Anny z Siemianowskich Jordanowej, Magdaleną wdową po St. Sobku.

Rzeź galicyjska w r. 1846, znalazła tu także swój oddźwięk w samym klasztorze i jej okolicy, gdyż tu rebelia wybuchła jasnym płomieniem i poczyniła liczne zniszczenia. Sam klasztor padł ofiarą rozbestwionego tłumu, zrabowano go bowiem do szczętu. Ówczesny przełożony klasztoru ks. Latyński, był świadkiem tej rebelii i on zapisał w kronice klasztornej kilka szczegółów, odnoszących się do tej rebalji. Drzwi klasztorne rozbito, kamień, pokrywający podziemny korytarz, prowadzący do Melsztyna, pokruszono, zakonników obito, a braciszka klasztornego, wracającego z miasta zamordowano; zakrystję obrabowano z aparatów kościelnych. Dzicz rozbestwiona rzuciła się na ołtarze, obdzierając ze wszelkich ozdób. Dzikość chłopstwa, doszła nawet do tego stopnia, że na koniach wjechali do kościoła. Rabacją kierowała jakaś kobieta, która wyszła na ambonę i stamtąd wydawała rozkazy chłopom, co mają zabierać.

Nawet puszka z komunikantami straciła u chłopstwa swe znaczenie, to też rozsypano komunikanty po kościele, a puszkę i kielichy pakowano do worów. Pomnik założyciela klasztoru hr. Adama Tarły, uszkodzono w ten sposób, że ręce i nogi poubijano, które dopiero później kazał dorobić hr. Lanckoroński. Płytę marmurową prowadzącą do grobów, rozbito, trumny uległy zupełnemu zniszczeniu, które porozbijano, a kości porozsypywano po całym grobowcu. Ową płytę marmurową, zgruchotaną w kawałki, umieszczono teraz na dziedzińcu klasztornym, jako pamiątkę dla chłopstwa dzisiejszego, świadczącą o rozbestwieniu ich przodków. Krużganki alabastrowe przyozdobione licznymi obrazami, uległy także zupełnemu zniszczeniu; obrazy ważniejsze pozabierano, a których nie mogli zabrać ze sobą, poniszczyli w ten sposób, że głowy Świętym powykuwano, lub tułowia przebito, a można je oglądać każdej chwili, gdyż żaden z gwardjanów nie chce ich naprawiać, pozostawiając te ślady zniszczenia na pamiątkę rabacji.

Sami mieszczanie zakliczyńscy zachowywali się neutralnie, najwięcej zaś szalało chłopstwo ze wsi Bieśnik, Jończysk, Farciszowej, a potomkowie ich nie cieszą się dziś błogosławieństwem bożem.

Rzeź szlachty okolicznej była znaczna, którą wiązano i mordowano na miejscach otwartych, zwłaszcza kollatorów w obecności proboszczów, jakto miało miejsce w Oleśnicy, gdzie przywleczono dziedzica do karczmy i w obecności jego proboszcza, znęcano się nad nim w sposób wyuzdany.

W dekanacie wielopolskim zabito 99 osób, w Bruśniku 6, gdzie bohaterem rzezi był Antoni Jamka, który w powrocie z Bochni, dowiedział się o rzezi i sam w sąsiednich wioskach podburzył chłopów do buntu i mordowania szlachty i księży. Obok niego odznaczył się dzikością kmieć Hadała z Jamnej. Czub i Potok. Czub umarł w Bruśniku w r. 1847, a gdy go wieziono na cmentarz około karczmy, w której szalał w czasie rzezi, zatrzymały się woły, wiozące ciało mordercy po dwa razy i jak świadczy kronika klasztorna, oraz ksiądz z organistą prowadzący kondukt pogrzebowy, otwarła się trumna, z której podniósł się zbrodniarz i wydawał ze siebie zwierzęce głosy. Stwierdzili ten wypadek własnoręcznym podpisem ksiądz Kanty Wańczyk, administrator parafii, oraz Dutkiewicz organista i ludzie idący za trumną Czuba. Podpisy liczne na świadectwo tego wypadku złożono na ręce ks. Wojciecha Kowalika, proboszcza parafialnego, gdzie przechowują się w zakrystji tamtejszego kościoła.

Na wschód od klasztoru OO. Reformatów, w niewielkiej odległości, wznosi się tuż pod górą w uroczem ustroniu klasztor PP. Bernardynek, bardzo gustownie urządzony, a za nim rozciąga się obszerny ogród klasztorny. Kapelanem klasztornym jest ks. kanonik Żuliński, znany aż nadto krakowianom, ze swego patrjotyzmu i uprzejmości.

Na północny wschód od Zakliczyna, w odległości 3 klm, widać białe domki, ocienione drzewami, należące do wsi Lusławic, znanych z pobytu sekty Arjanów, zwanych tu Socjanami, od reformatora Faustyna Sociusa.

Lusławice założył około r. 1230 Ludysław herbu Ośmioróg, a wieś ta przeszła później w ręce Błońskich, Szczepanowskich i Taszyckich. W roku 1570 powstała tu akademia arjańska, kształcąca młodzież w duchu heretyckim. W domu Abrahama Błońskiego, mieszkał znękany trudami i zawodami przywódca Arjanów tutejszych Faust Socyn, rodem Włoch, który też tu dokonał żywota w r. 1604. Grób jego znajduje się w Lusławicach, na niewielkiem wzniesieniu, naprzeciw gorzelni dworskiej, ale zupełnie zaniedbany. Na płycie kamiennej można tylko z trudnością odczytać następujący napis włoski: „Chi semine virtu racoglie fama, fama supera la morte“. Pod tą płyta spoczywają zwłoki reformatora polskiego arjanizmu, który przez 52 lat blisko, miał w Polsce wielkie powodzenie.

Podanie miejscowe utrzymuje, że zwłoki Socjana wydobyli chłopi z grobu i wrzucili je do Dunajca, ale w każdym razie, w tem miejscu jest pochowany.

Wnuk Abrahama Błońskiego, dziedzica Lusławic, Samuel Błoński, porzucił błędną wiarę, nawrócił się i umarł w katolicyzmie 1664 roku; to samo uczynił i główny protektor Arjanów w tej okolicy Achacy Paszycki, syn Stanisława, który tu założył około roku 1570 szkołę, zbór i drukarnię arjańską. Budynki, w których mieściły się zakłady arjańskie, podarował OO. Reformatom, a umierając w roku 1645, kazał się w ich grobowcach pochować.

Jesienne liście.

Mają w sobie wiele piękna i barw, a jednak tak pełne są smutku!...

Stroją długie aleje barwami palących tonów, ozłacają szczyty wysokich drzew, sypią się jak ziarna na ziemię szarą, a jednak nikt się niemi nie cieszy.

Z wiosną, pierwszy pączek wierzbowej bazi, choć blady i bezbarwny, o wiele więcej sprawia uciechy i radości od tej fali liści jesiennych, które sypią się wokoło i piękne są w barwach...

Na widok najpierwszych pędów trawy przydrożnej, przebijającej się z poza resztek śniegu, budzi się nadzieja w sercu każdego, i z weselem wołamy: już wiosna!...

A gdy jesień poczęnie strącać złote liście drzew, z bolem powtarzamy: już jesień!...

Tak bywa zawsze każdego roku. Zawsze ogarnia nas tęsknota niezmiernie tkliwa, zawsze odczuwamy jakby ból cichy, na myśl, iż drzewa wkrótce zostaną nagie, pola puste, i nic nam minionej wiosny wrócić nie zdoła.

Nie idzie nam więc o szatę drzew, która opada, aby w nowej krasie na wiosnę wystąpić, nie idzie nam o tę pustkę bezbarwną i ciszę wśród pól i gajów, jaka się wkrótce rozłoży dookoła, ale nam żal minionego czasu kawału życia, które uszło, a wziąwszy wiele — tak mało w zamian dało.

Każdemu z nas, ów szelest pożółkłych liści opadających z drzew, przypomina niejedno w życiu naszem zagasłe, opadłe i minione... Każdemu ów oddech smutnej jesieni wlewa w duszę cząstkę melancholji i tęsknoty za tem co mija i nigdy nie wraca...

Bo jesienne liście są datą przeszłości. Rozwijały się one z pąków drobnych, kąpały w słońcu, deszczem się myły, rosę piły i — już wszystko dla nich skończone. Giną teraz...

Giną w rozwianiu, podeptaniu, w bezsile biernej, kędy ich wiatr poniesie, kędy ich szata przechodniów zarzuci, kędy ich ich prawo bezwładności położy...

Więc czemuż do tego umarcia i zaniku stroją się w purpurę i złoto? Czemuż do życia wiosny i lata pięknego budzą się w monotonnej barwie zieleni, a na nędzne opadanie ku ziemi, na ścielenie się pod stopy przechodniów, na błędne rozwianie po pustych polach, złocą się i barwią tęczami?...

Czy i nasze złudy, marzenia i zapały, które szron życia zwiewa z młodych planów i programów, tak samo złocą się wtedy, kiedy już zginąć mają?...

Są dusze, które nigdy, jak bezlistne drzewa, nie przerażają smutkiem i pustką... Nie rozwiewają swych wrażeń i uczuć, jak drzewa płonące jesiennymi liśćmi... Sto szronów przyjdzie i życie, jak jesienne niebo, nie da im ani słońca, ani nadziei, ani ciepła, jednak nie dając szczęścia, nie umie zubożyć i obedrzeć tak, iżby nagością przerażać mogły...

Lecz takich mało...

Niestety!... Ogromne szeregi są tych, którym pierwszy powiew jesieni krasę życia zgasił i zostawił tylko nagie szkielety, jak upiorów kości...

Nędzarze duchowi!.. Im wieczna jesień wokoło i wszystko dla nich rozwiane po pustych polach, po ścieżynkach błędnych, po błotnych drogach...

Jesienne liście, hasła zgonu. A i w narodzie duchy odarte z szat nadziei i życia — są zwiastunami śmierci moralnej... Idźmyż od nich jak najdalej i brońmy się, byśmy ich pustką i nagością nie zostali zarażeni..

Sypie się deszcz złoty, lecą liście w dal, rozściela swą szatę „pustka“ nad polami i lasami, a ludzie liczą, ile to już razy jesień ich witała i ile razy żegnała ich długim deszczem jesiennych mgieł, mroków i szronów...

Przeszłość!...

A na progu jej — stoi zawsze przyszłość. Jak na złoconym brzeżku karty księgi, którą czytamy z zajęciem, poczyna się nowej karty strona, tak na deszczu złoconych liści jesieni, poczyna się nowa chwila, nadziei o wiośnie.

Wtedy melancholji i żalu skargi milkną... Kto na przeszłości brzegu szuka przyszłości zarania, ten zwątpieniem się nie struje, a w życiu narodu trzeba tylko dbać o duchy silne, pełne nadziei..

Więc niech jesień idzie... niech się liście złote i purpurowe ścielą, niech smutek rozwiewa swe skrzydła...

„Do tych należy jutrzejszy dzień,
„Co nowych łakną zdobyczy —
„Kto się usuwa w ciszę i cień,
„Ten się do żywych nie liczy!...“

J. S.

Strój i dom.

Jakoś niesporo szło mi już od lata z moim feljetonem o modzie, jakby ktoś za morze jechał. A wszystkiemu winne ciągłe niepogody, chłody i słoty, pastwiące się nad całą Europą, tak, że przed niemi nigdzie uciec nie było można. Bywało, biorę za pióro, spisuję dziwy o powiewnościach i lekkościach materjałów letnich, o barwach i tkaninach przejrzystych, do delikatnego podmuchu wietrzyka podobnych, a tu, zamiast delikatnego podmuchu, wichura gwałtowna zimnem przejmuje do kości, napędza chmury ciemne i deszcz pada i pada bez końca.

Aura bezlitośna uwzięła się poprostu na uroczą panią modę i, mimo wszystkie jej wspaniałe, piękne pomysły, trzymała ją tak na uwięzi, że moda, która zazwyczaj z niepowstrzymaną brawurą narzuca światu najzuchwalsze swe kaprysy, wobec takiej siły, jak potoki deszczu i przejmujące chłody, kapitulować musiała i chodzić po większej części otulona w płaszcz nieprzemakalny.

Gdzież więc przy takim brudno-szarym kolorycie zewnętrznym rozpisywać się o przejrzystości toalet i subtelności barw pastelowych? Sprawozdawca mógł spać spokojnie.

Przy schyłku lata zbudziła i wielce ucieszyła mnie zapowiedź wystawy sprzętów w stylu zakopiańskim. Uradowana otwarciem wystawy, myślę, że skoro „strój“ mi nie dopisał, „dom“ za to dostarczy obfitego materjału do feljetonu.

Przyznać trzeba, iż postęp w urządzaniu mieszkań zaznacza się ciągle, że smak w tym kierunku rozwija się, kształci na równi prawie z rozwijaniem się potrzeby rozmaitych ulepszeń praktycznych, lecz zauważyłem wielokrotnie, iż rozwija się głównie co do rysunku, ustawienia sprzętów, fantazji w rozrzuceniu mniej czy więcej kosztownych ozdób, na punkcie zaś harmonji barw bardzo szwankuje.

Dziwnem się to zaiste wydaje w zestawieniu z żywą, nienasyconą gorączką kolorytu w sztuce i w wyrobach przemysłu, wkraczających w dziedzinę artyzmu.

Celem dzisiejszego malarstwa jest opanowanie najtrudniejszych tajemnic kolorystyki; pierwszorzędni fabrykanci-artyści w wyrobie prześlicznych, iście bajecznych tkanin, poszukują wciąż oryginalnych zestawień barw najsprzeczniejszych efektów, o których niegdyś niktby zamarzyć nie śmiał; impresjoniści dla kolorytu i światła, poświęcają często formę i rysunek; a są nawet i tacy którzy w tym kierunku dochodzą „ad absurdum“, ogół jednak, w zastosowaniu pewnej harmonji tonów do codziennego otoczenia, daleko w tyle pozostał. Wprost uderzającym jest ogólny brak artystycznego wykształcenia w tym

względzie, brak odczucia, zrozumienia doniosłości właściwie użytej barwy, która bywa niekiedy głównym czynnikiem ku stworzeniu rzeczy pięknej. Przy nacisku, jaki obecna pedagogika kładzie na sztukę w wychowaniu, kształcenie smaku za pomocą kolorów, powinno być w dużej mierze zastosowane.

Pamiętamy więc, jak mówiłam, o rysunku sprzętów, o deseniu pokrycia, o różnych sposobach upiększenia mieszkania, o formie i wymiarach pieca, a zapominamy, że zgodny zespół tonów to chyba najważniejszy warunek, aby otoczenie przyjemnem było dla naszych oczu.

Istnieją tu wprawdzie pewne, utarte zasady, i temi szerszy ogół zwykł się rządzić, lecz właśnie owe utarte zasady, utworzyły banalność nużącą, przed którą nieraz uciekać miałoby się ochotę. Wiadomo, że w każdym zamożniejszym domu (mówię tu o przeciętnych mieszkaniach mieszczańskich) salon powinien być jasny, o ile można ozdobiony złoceniem, po większej części perłowy, pokój stołowy utrzymany w tonie bronzowo-żółtym, gabinet w jakimś niepewnym, bardziej ciemnym, pokój sypialny w niebieskim, czy różowym, a w każdym razie dość „wesołym“, tak zwany pokój „dziecinny“... w żadnym.

Pokój stołowy, gabinet, jeszcze pół biedy, ale ten salon czy salonik, który ma być najstrojniejszą i najpiękniejszą częścią mieszkania, okropnie czasem wygląda: jakież tam bezradne szukanie efektów, maniera niesmaczna, pstrocizna nieznośna, dziś arcywygodnie pod ogólne miano impresjonizmu podciągnięta. Grzeszymy też bardzo, tak niedbale obchodząc się z pokojem dziecinnym, nie myślimy o tem, że oprócz wzorowego ładu i czystości, powinna w nim panować skromna, pełna prostoty estetyka, bardzo niekosztowna i nietrudna do zdobycia. W pokoju przeznaczonym dla dzieci, zachować należy dobór kolorów jasny, wyraźny, a przytem podstawowo harmonijny. Świadome, czy nieświadome nawykanie do zgodności barw estetycznie dobranych, jest nieocenionym zadatkiem dobrego smaku i wykształcenia artystycznego. Wbrew wszelkim dowodzeniom, iż człowiek sam siebie nigdy należycie ocenić nie potrafi, czuję, że poczynam być nudną. Zostawiam więc barwy i pedagogikę i czemprędzej powracam do mody.

Jesień, za miesiąc najdalej przyjdą stroje zimowe, trzeba się spieszyć, żeby jeszcze choć kilka słów o jesiennych powiedzieć.

Przejście z zimnego, słotnego lata do jesieni było i w atmosferze, i w ubraniach tak niedostrzegalne, że nie byłabym pewnie pomyślała o niem, gdyby nie napotkany pierwszy kapelusz elegancki. Pierwszy „feutre!“ to wskazówka poważniejsza, aniżeli zimno i krótkie dni, poważniejsza nawet, aniżeli sam kalendarz.

W pośród kapeluszy tak zwane „plateaux“ uzyskały pierwsze miejsce. Rozmaitość wielka, każdy ma coś odrębnego, oryginalnego w formie, w upięciu, jakby każdy dla innego typu był tworzony. Filce jasne, kosmate („chat“), do cieniu, przybranie przy najjaśniejszych ciemne. Noszone też są i będą: toki okrągłe, różnych rozmiarów, malownicze zawsze „Gainsborough“; fantazyjne kapelusze zdobne wspaniałem piórem, przymocowanem kosztowną agrafą, na obraz i podobieństwo kapeluszy, noszonych przez piękną panią de Longueville z czasów Frondy, no, i wiele, wiele innych, bo przecież teraz wszystko jest modne.

W ogólnych zarysach moda obecna stanowczo zrywa ze wszystkiem, co sztywne, twarde, bardziej męskie. To, co najmodniejsze, da się w jednym pomieścić wyrazie „Engouillement“. Wyraz ten oznacza miękkość, delikatność, puszystość, coś niby przytulenie się lekkie, niby pieszczotę. Wyraz ten — to hasło mody dzisiejszej, a tak wrósł w dusze strojących się kobiet, że chyba przejdzie do potomności. Rozumie się, że wyraz ten nie usuwa modnych zawsze, a zwłaszcza w obecnym sezonie ogólnie noszonych kostjumów „tailoir-made“, nie usuwa lecz nadaje im więcej niewieściego wdzięku. Spodnice, stale do parasolek, czy kwiatowych kielichów podobne, przy kostjumach cięższych, najbardziej używane krajane z drobnych brytów. Zamiast paltocika, lub do figury przylegającego „etonu“, bolero „sac“ bardzo luźne.

Z pomiędzy futer przyszła kolej na popielice. Zdegradowane przez lata całe do roli futra, noszonego wyłącznie jako podszycie, podniesione zostały do godności ozdoby, przybrania i najprzedniejszego materjału na paltoty, t. j.: przeważnie na krótsze i dłuższe saki, notabene wykończone na podszewce z gronostajów. Czy się to kiedy skromnym popielicom o podobnych splendorach śniło?

Zima przeniesie nas podobno do roku 1830. Przepowiadają nawet, że wskrzeszenie „cabriolet“ naszych prababek. Pelerynki, szerokie kołnierze, spływające na ramiona, rozszerzać je będą gwoli temu, by cieńszą wydawała się figura w stanie; zobaczymy znów olbrzymie, bufiaste rękawy „a gigots“ a może i oryginalne surduty „carricks“, noszone za czasów Ludwika-Filipa.

Moda różne przechodzi fazy. Bywa: królową, poetką, rozkapryszonem dzieckiem, artystką, skromną, cnotliwą niewiastą i rozbawioną heterą, czasem zaś przemienia się w histeryczkę, której coraz nowych wzruszeń potrzeba.

Jednem z ostatnich jest automobilizm, dla którego moda stworzyła kostjumy, jak straszydła. Automobilizm to najnowsza modna furja. Dość powiedzieć, że panie biorą udział w wyścigach.

Wyobrażam je sobie z twarzyczkami wystawionemi na silny prąd wiatru, pędzące, jako „palaczki“ z niesłychaną szybkością.

Wogóle wszelkie mniej wygodne podróże utrudniają niezmiernie zachowanie staranności w toalecie i owych tysiącznych drobnych subtelności, tak nieodzownych dla przerafinowanego smaku i... kokieterji wytwornej, pięknej kobiety.

Jazda na samochodach przerzuca ją niejako w owe czasy, kiedy to w dyliżansach, „berlinkach“ i różnych, okrutnie trzęsących się statkach przebywało się ogromne przestrzenie.

Przypuszczam, że po przebyciu choćby tylko mil kilkunastu, nasze śliczne prababcie, wysiadając z pocztowej, klekocącej kolasy, mimo najrozmaitszych „osłonek“, mimo czepców, chroniących upudrowane, kunsztowne „koafiury“, nie wyglądały bynajmniej, jak markizy de Fragonard. Elegantka przestaje nią być po trosze, jeśli się rozstaje z temi rozmaitemi „riens“, które są jakoby „la dernière main“ w jej toalecie. I dlatego nie mogę przypuścić wcale, aby dzisiejsze paryżanki, pędząc całymi dniami na samochodach, mniej narażały na zatratę delikatność cery, mniej miały zderanżowaną toaletę, no, powiedzmy wyraźnie, mniej traciły wdzięku, aniżeli nasze prababki „fagotées“, po przebyciu uciążliwej podróży w dyliżansie.

Rozbudzone upodobanie do ćwiczeń fizycznych, uprawianie sportów, których nieodzownem następstwem jest zmęczenie i pewien nieład w toalecie, nie mogą godzić się z pojęciem o estetyce, jaka otaczać winna kobietę wytworną i dbającą o wymagania mody.

Mówiąc o modzie, rozumiem modą francuską, paryską, żadnych innych usiłowań tworzenia mody odrębnej nie uznaję.

Owa „furja“ w uprawianiu nowego sportu przybyła do Paryża z Nowego Jorku, zawadziwszy poprzednio o Londyn. Londyn atoli mniej gorączkowo uległ modnej rozrywce. „Automobilizm“ w Londynie jest tem, czem być powinien. Nie licząc kilku zagorzałych zwolenników, wszyscy tam jeżdżą z wielkiem upodobaniem, z szybkością znaczną, lecz nie narażają się na eksperymenty karkołomne, piękne zaś i arystokratyczne „ladies“ i „misses“ nie zapakowują się od noska do pięty w szpetne futerały na obraz amerykanek. Zostawiają to paryżankom, bo wiedzą, że te skore są zawsze do uniesień, zwłaszcza tam, gdzie chodzi o pewną brawurę i wprowadzenie w podziw poczciwych „filistrów“.

Pod skrzydłem kapelusza każdego prawie francuza kryje się coś z muszkietera, a nie zapominajmy, że d'Artagnan pochodził z Francji południowej.

Oto dlaczego paryżanki „idą“ na czele wszystkich „sportsmanek“ i dlaczego nie zawahały się (one, takie delikatne, takie „flou!“) przed nałożeniem na siebie potwornych płaszczów i kapturów ochronnych i nie ustrasza ich wystawianie się na niebezpieczeństwo utraty życia, — a co gorsza — wdzięku.

Wszelkie względy stają się im obojętnemi z chwilą, gdy ich pociągnęło upodobanie do brawury, nie baczą wtedy na to, co brzydkie i co... niedorzeczne.

W sporcie, tak samo jak i w wielu modach, zajęciach, zabawach, upodobaniach, przychodzimy do punktu, który wiecznie rozdzielać będzie mężczyznę od kobiety, który, dzięki Niebu, wskaże, iż to, co uchodzi pierwszemu, niezawsze i nie w całej rozciągłości właściwem jest dla drugiej.

W sporcie zresztą, jak w życiu. Lepiej często, gdy piękna pani zachowa pewną, wrodzoną kobiecie, bojaźliwą powściągliwość. To przecież taki piękny strój.

*

Kończę feljeton i spoglądam w okno. Co to? Śnieg. Naprawdę, najwyraźniejszy śnieg. Więc już nie będzie zapowiadanej, okrzyczanej, naszej cudnej jesieni? Więc to już zima? I znów się spóźnić gotowam.

Spieszę czemprędzej oglądać nowości zimowe.

Zofja S.



Jedyni prawdziwi Niemcy w Wielkopolsce.

Z poezyj Wł. Zagórskiego.

Nokturn.

Nocka mrokiem ziemię słoni,
Świat kołysze w sny;
Wiatr po sennej hula błoni,
Białe strzępiąc mgły.
Srebrny księżyc w gwiazd drużynie
To z chmur wyjrzy, to w nich ginie;
Zgasły światła — drzemie sioło,
Głucha noc i cisza w koło,
Grają tylko w mgle derkacze,
Szumi bór do snu
I fujarka w dali płacze:
— Oj du du du—du!...

Lecą pieśni, lecą hyże
Hen, w daleki świat;
Pod cmentarne lecą krzyże,
Pod okienka chat,
Pod mogiły zapomniane
Przypadają rozełkane,
I kołacząc nutą rzewną
W okien szyby, w krzyżów drewno,
Biorą na swych skrzydeł loty
Wszystek ziemski żal,
Wszystkie bóle i tęsknoty
I unoszą w dal...

Nieme skargi, głuche bole,
Niespłakane łzy,
Ciche troski i niedole
Lecą, lecą w mgły...
Rozpętane czarem pieśni
To, co mżało w grobu pleśni
I co skryte w piersi łkało,
Głos przybrawszy tam i ciało,
Rozszlochane na jaw rwie się
Wśród przyrody snu,
A wiatr płacz ten w chmury niesie...
Oj, du du du—du!

A gdy księżyc blaskiem strzeli
Z poza mknących chmur,
Majaczeje wśród mgieł bieli
Mar żałosny chór.

Prawdziwi Niemcy.

Kanclerz Bülow broniąc polityki eksterminacyjnej wobec Polaków dodał, że Polacy mnożą się na wzór królików, a Niemcy jak zające ustępują przed nimi. Otóż jedno z najlepszych niemieckich pism humorystycznych „Simplicissimus“, które już niejednokrotnie ściągnęło na siebie gromy prokuratora za obrazę Wilhelma II i jego ministrów, ilustrując „niemieckość“ w polskich prowincjach Zaboru pruskiego, dało wyborną satyryczną rycinę, której odbicie zamieszczamy w dzisiejszym dodatku.

Wśród niezliczonego stada królików stoi trzech chałatowych żydów, a jeden z nich z dumą mówi: „na Wschodzie my jedni po niemiecku mówimy“. Wiadomo, że hakatyzm znajduje najliczniejszych zwolenników wśród żydów, ich też piętnuje satyryk niemiecki.

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu“.

W drukarni W. Korneckiego w Krakowie.